

Katarzyna Tubylewicz „Kultura nas wyleczy”

Tekst powstał w ramach przygotowań do Forum Przyszłości Kultury 2017 (18–19 listopada w Teatrze Powszechnym w Warszawie). FPK to przestrzeń dialogu i dyskusji na temat perspektyw rozwoju kultury we współczesnej Polsce. Program Forum to spotkania z udziałem ruchów obywatelskich, debaty, spektakle i pokazy oddolnych inicjatyw kulturalnych. Kontekstem dla prac Forum są scenariusze dotyczące przyszłości kultury, napisane przez wybitnych humanistów, a także cykl debat organizowanych w całej Polsce. Więcej informacji na stronie: <http://forumprzyszloscikultury.pl/>

W wywiadzie udzielonym szwedzkiemu dziennikowi „Dagens Nyheter” tegoroczny laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury, Kazuo Ishiguro mówił o tym, że w czasach niepewności, gdy liberalna demokracja jest na wiele sposobów zagrożona, kultura odgrywa szczególną rolę. Na ludziach kultury spoczywa też odpowiedzialność: „Sztuka jest w stanie humanizować rozmowy o polityce”. W tym samym wywiadzie Ishiguro wyjaśnia, że jedną powieść pisze średnio przez pięć lat.

Sugestia świeżo upieczonego noblisty, że na ludziach kultury ciąży pewien moralny obowiązek, zwłaszcza w trudnych czasach, wydała mi się bardzo słuszna, choć nieszczególnie odkrywczą. Zamyśliłam się natomiast nad tą drugą wypowiedzią... Luksus wieloletniego pisania powinien być normalnością, zwłaszcza w życiu uznanego pisarza, ale z polskiej perspektywy wydaje się opowieścią o bajkowej Nibylandii. Cały świat polskiej kultury, a świat literatury zwłaszcza, funkcjonuje w fatalnie opłacamym niedoczasy. Rezultatem tego jest między innymi coraz bardziej taśmowa produkcja książek oraz wyrobów książkopodobnych w pogoni za kolejną zaliczką. To także kołowrotek łapania dodatkowych fuch, pisania felietonów, recenzji i wszystkiego, co się da, w celu podreperowania budżetu. Pisarz staje się wyrobnikiem, książka żyje przeciętnie miesiąc, potem znika z księgarń.

W innych dziedzinach kultury taśmową produkcję książek zastępuje taśmowa produkcja projektów, często takich, które da się wcisnąć w ramy tematyczne dostępnych akurat pul publicznych pieniędzy. Klasycznym przykładem są budżety Ministerstwa Kultury na różne rocznice oraz czczenie patronów kolejnych lat. To także w stylu taśmowym: rok 2017 jest na przykład rokiem Adama Chmielowskiego, Josepha Conrada-Korzeniowskiego, Tadeusza Kościuszki, Honorata Koźmińskiego, Józefa Piłsudskiego oraz rzeki Wisły...

Notoryczny brak pieniędzy, który odbiera czas na myślenie i możliwość skupienia się na pracy, jest równie potężnym zagrożeniem dla jakości oraz miejsca kultury w Polsce, jak to płynące ze strony cenzorów „dobrej zmiany”.

Wracając do literatury – to ciekawe, że katastrofalna sytuacja jej twórców wcale nie jest nowa. Zaczynam wręcz odnosić wrażenie, że to stan charakterystyczny dla naszego kraju, a nie jakieś *signum temporis*. Niedawno trafił mi w ręce opublikowany w „Ex Librisie” wywiad Tomasza Jastruna z Adamem Brombergiem z 1993 roku. Adam Bromberg był legendarnym polskim wydawcą i wieloletnim dyrektorem PWN. To z jego inicjatywy i pod jego okiem powstała pierwsza po wojnie Wielka Encyklopedia Powszechna. Po tym jak opuścił Polskę z powodu nagonki antysemitki w marcu '68, stworzył razem z córką kolejne doskonałe wydawnictwo, tym razem w Szwecji. Do dziś słynie ono z dobrej ręki do noblistów. W rozmowie z Jastrunem pod znamienym tytułem: „Biedni inteligenci”, Bromberg wraca do Polski przedwojennej. Sytuację ludzi pióra określa mianem „rozpaczliwej”:

„Honoraria były nędzne. Debiutanci z reguły nie dostawali grosza. Pamiętam, jak się szarpał Rudnicki, jego książka *Żołnierze* szła fatalnie, ledwie, ledwie, Strykowski za przekład Céline’a dostał pięć groszy za arkusz, za taki trudny przekład, a pięć groszy to było pięć skromnych obiadów. Inteligencja głodowała, szukała każdego zarobku, szła na każde warunki”.

Brzmi trochę znajomo i bardzo frustrująco? Frustracja powiększa się po przeczytaniu kolejnego fragmentu przedwojennych wspominków Bromberga: „Patrzyliśmy z zazdrością na Zachód. Tam już w latach trzydziestych powstały książki kieszonkowe, pockety. (...) Na świecie wiele się działo, ale ta rewolucja nie dotarła do naszego zaścianka”. Bromberg wspomina też, że w przedwojennej Polsce „nie bardzo miał kto czytać”. Minęło jakieś 90 lat, koła historii przetoczyły się wielokrotnie, ale w Polsce nadal, a może nawet jeszcze bardziej nie ma kto czytać. Rynek tanich, dostępnych dla wszystkich pocketów również nie powstał.

Po co mi to zanurzenie w przeszłość, skoro mam pisać o przyszłości? By podkreślić, że pora opuścić zaścianek. Wylądowaliśmy w nim nie ze względu na kiepskie położenie geograficzne i nieprzychylny wiatry historii. Tkwimy tu przede wszystkim dlatego, że jako społeczeństwo NIGDY nie traktowaliśmy poważnie ani kultury, ani tworzących ją ludzi, ani tych, którzy są jej odbiorcami. Tymczasem wygląda na to, że w najbliższych latach to kultura jest w stanie nas uratować. Być może tylko ona.

Kultura inkluzyjna

Żyjemy w epoce narastającego poczucia zagrożenia, ale boimy się nie tego, co tak naprawdę w najbliższym czasie wywróci naszą rzeczywistość do góry nogami. Czekać nas apokalipsę można zresztą w pierwszej chwili pomylić ze starym, dobrze znajomym postępem. Chodzi o to, że według licznych prognoz w ciągu najbliższych 25 lat blisko połowa stanowisk pracy zostanie zajęta przez maszyny. W Polsce zagrożonych automatyzacją jest średnio 40 procent miejsc pracy, w krajach bardziej od Polski zaawansowanych w ciągu najbliższych dekad zniknie jakieś 57 procent stanowisk. Automatyzacji ulegną nie tylko proste, wymagające powtarzalności zadania. Znikną nie tylko prace w kasie, telemarketingu i w fast foodach, ale także duża część stanowisk urzędniczych, w urzędach podatkowych, a nawet w kancelariach prawnych. Kierowców ciężarówek także zastąpią samojeżdżące samochody autonomiczne, potrzebna do tego technologia już istnieje i jest z sukcesami testowana w Europie i USA. Użycie samochodów autonomicznych obniży koszty transportu i przyczyni się do zwiększenia poziomu bezpieczeństwa na drogach¹. Tylko co stanie się z całą rzeszą bezrobotnych kierowców? A przede wszystkim: jakie prace pozostaną na rynku zdominowanym przez technologię

Futurysta Martin Ford, autor książki „*Rise of Robots: Technology and the Threat of a Jobless Future*” twierdzi, że czekającą nas rewolucję przetrwają trzy typy zawodów. Na pierwszym miejscu wymienia prace, które wymagają kreatywności, takie jak ARTYSTA lub naukowiec. Druga grupa zawodów, które przetrwają, to te, które wymagają empatii i umiejętności budowania związków z ludźmi, będzie to zarówno zawód pielęgniarki, nauczyciela, czy psychologa, jak i praca animatora kultury albo bibliotekarki. Ostatnia kategoria zawodów bezpiecznych to prace z niskim stopniem przewidywalności, wymagające improwizacji. Niewątpliwie w tej kategorii zmieszczą się organizatorzy festiwali kulturalnych i pracownicy co bardziej prężnych instytucji kultury. To pierwszy sygnał, że w najbliższych latach znaczenie kultury powinno wzrastać, a nie maleć, i dlatego warto już teraz przestać ją lekceważyć. Nie chodzi tylko o pocieszający fakt, że ludzi kultury nie zastąpi komputer (czyniono próby zatrudnienia komputerów do pisania powieści i

¹Zainteresowanych tematem odsyłam do najnowszych raportów na temat automatyzacji i znikających zawodów McKinsey & Company, raportu „Aktywni + Przyszłość Rynku Pracy” przeprowadzonego przez DELab UW na zlecenie Gumtree Polska.

komponowania muzyki, ale efekty nie są satysfakcjonujące). Chodzi o coś więcej: to kultura może nas uratować w czasach dynamicznej zmiany. Przed czym? Chociażby przed skutkami masowych zwolnień z pracy, takimi jak pogorszenie stanu zdrowia dużej części mieszkańców kraju, wzrost napięć społecznych, wzrost przestępczości i postępujący rozpad więzi międzyludzkich. Pamiętajmy, że tym razem nikogo nie uratuje emigracja za pracą. W krajach, do których zwykli wyjeżdżać Polacy, proces zastępowania ludzi przez maszyny jest dużo bardziej zaawansowany.

Zatem co ze sobą poczną wszyscy bezrobotni w kolejce do przekwalifikowania, jeśli nie dostaną szansy na uczestnictwo w czymś, co nada ich życiu sens i pobudzi ich umysł?

Uczestnictwo w kulturze może być sposobem na wyjście z kryzysu. Podobnie jak rozwijanie kreatywności zwykłych ludzi. To wielka, może jedyna szansa, ale żeby ją wykorzystać, należałoby już teraz w radykalny sposób zmienić programy szkolne. W tej chwili polska szkoła wyjątkowo mało poważnie traktuje pobudzanie kreatywności młodych ludzi. Począwszy od zajęć plastyki, które są na ogół traktowane jako przedmiot poboczny, przez zaniedbywanie lekcji muzyki, a skończywszy na rozprawkach i testach ze znajomości lektur (świetnych dla robotów!), zamiast wczesnego wprowadzania zajęć z *creative writing*. Oczywiście nie upadłam na głowę i nie chcę nikomu sugerować, że bezrobotni kierowcy zaczną zarabiać pieniądze na pisaniu powieści i malowaniu obrazów. Twierdzę jedynie, że aktywne uczestnictwo w kulturze jest jedną z ważnych ścieżek rozwoju. Że stanowi sprawdzony sposób na budowanie społecznej solidarności. Że może być terapią, a także sposobem na zwiększenie elastyczności i otwartości myślenia. Te ostatnie staną się kluczowe w świecie, w którym według futurystów normą będzie wykonywanie kilku różnych prac jednocześnie (zamiast jednej pracy na etacie) oraz konieczność systematycznego przekwalifikowywania się i dostosowywania do kolejnych dynamicznych zmian. Z tej przyczyny nasz stosunek do kultury musi stać się też znacznie bardziej inkluzywny. Na poziomie edukacji nie powinno więc chodzić jedynie o to, by w szkołach muzycznych kształcić przyszłych wirtuozów skrzypiec, ale żeby każdy młody człowiek miał szansę zaznać radości wspólnego śpiewania, czy grania na instrumentach. Zajęcia plastyczne nie powinny polegać na poszukiwaniu od pierwszej klasy szkoły podstawowej przyszłych mistrzów pędzla oraz na wczesnym uświadamianiu pozostałym dzieciom, że jako beztalencia powinny sobie dać z plastyką spokój. Najwyższa pora uwierzyć, że praca twórcza pobudza ośrodki kreatywności w mózgu dziecka, co z czasem przełoży się na umiejętność rozwiązywania problemów i zdolność do improwizowania. Także partycypowanie w kulturze ludzi dorosłych powinno już teraz zacząć przyjmować nowe formy. Coraz ważniejsza staje się dziś idea aktywnego uczestnictwa. Spektakularnym przykładem jej realizacji jest coroczny festiwal „Burning Man” organizowany na pustyni Black Rock w stanie Nevada. „Burning Man” to „utopijny manifest performerski”, wolna, samoorganizująca się ekspresja społeczna, skrajnie interaktywny festiwal organizowany od początku do końca przez jego uczestników. W trakcie każdej edycji „Burning Mana” odbywają się koncerty, spektakle teatralne i różne widowiska, tworzone są rzeźby i instalacje artystyczne, budowane są całe miasteczka, wszystko jest tworzone od zera wspólnym wysiłkiem przybyłych na pustynię ludzi, a potem znika bez śladu. To eksperymentalne, tymczasowe społeczeństwo pełne kreatywnej wolności, w którym obowiązują takie zasady moralne, jak społeczna odpowiedzialność, antykomercyjność, kreatywna współpraca, poszanowanie środowiska i „radykalna inkluzywność” – każdy „obcy” jest tu upragnionym gościem. W tym roku w festiwalu na pustyni wzięło udział 70 tysięcy ludzi. Jego sława i wpływ rosną, pojawiają się też europejskie edycje. Wszystko dlatego, że festiwal ten realizuje odwieczną potrzebę współtworzenia, współodczuwania i wolności.

Warto podkreślić, że potrzeby tej nie da się realizować poprzez ideę promocji kultury narodowej. Przez wsobność, ekskluzywność i stawianie na kulturowy patriotyzm. Po pierwsze dlatego, że coś takiego, jak „czysta” kultura narodowa nie istnieje i nigdy nie istniała. Słowami szwedzkiej pisarki, Elisabeth Åsbrink, jednej z bohaterek mojej książki „Moralisci”: „(...) kultura jest tym, co jest najbardziej zmienne. Przyprawa

pochodzi skądś, a danie z innego zakątka świata, stąd jest instrument, stamtąd nowa idea, wszystko się ze sobą miesza. Problem z dyskusją o kulturze zaczyna się wtedy, gdy traktujemy ją jako coś statycznego, co zostało stworzone w roku zero, a potem już zawsze było takie samo: polska kultura, szwedzka kultura i tak dalej. A każda próba zmiany czegokolwiek to zagrożenie. Tymczasem zmiana jest duszą kultury”. Nie ma też niczego, co w większym stopniu szkodziłoby kreatywności, niż próba kierowania jej na wąskie, przewidywalne, narodowe tory. Obserwacja polskich niepowodzeń w promocji czytelnictwa podpowiada też, że nic tak nie zniechęca do czytania, jak sztywny, narodowy kanon w szkole.

Literatura jako lekarstwo

Żyjemy w smogu informacyjnym. Bezustannie zalewają nas wiadomości, tsunami obrazów i słów. Jesteśmy przebodźcowani, nasze mózgi nie nadążają z przetwarzaniem tego, co do nich dociera. Dr Dawid Wiener z Zakładu Logiki i Kognitywistyki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, który bada wpływ technologii informacyjno-komunikacyjnych na ludzki umysł, powtarza w wywiadach, że prześladujący nas nadmiar informacji powoduje, że zaczynamy zatracać zdolność do analitycznego, pogłębionego myślenia i do odczuwania emocji. Coraz więcej osób cierpi też na zespół nabytego deficytu uwagi.

Nie zważając na to, dociskamy pedał gazu. Uprawiamy wielozadaniowość, robimy po kilka rzeczy w jednym czasie, aby było szybciej, efektywniej i w żadnym razie nie nudno. Idąc na spacer, wysyłamy maile; pisząc tekst, zaglądamy na Facebooka; podczas spotkań ze znajomymi nie uważamy w czasie rozmowy, bo wysyłamy wiadomości i selfies do innych znajomych. Robiąc zakupy, słuchamy radiowych podcastów, wysyłając przy okazji kilka esemesów do rodziny; prowadząc samochód, zaglądamy na Twittera na czerwonym świetle... Wydaje nam się, że w ten sposób stajemy się bardziej efektywni, tymczasem to jedynie przejaw info-manii, o której pisze profesor Glenn Wilson z Gresham College w Londynie. Wieloczynnościowość sprawia, że nie koncentrujemy się na niczym, a konieczność ciągłego reagowania na szybko zmieniające się bodźce powoduje stres i szkodliwie wpływa na pamięć oraz umiejętności kognitywne. Potwierdzają to liczne badania, na przykład te prowadzone przez Earla Millera, profesora neurologii z Massachusetts Institute of Technology.

Wydaje nam się, że nadążamy za pędzącym przed siebie światem, ale w rzeczywistości jedynie ślizgamy się po powierzchni problemów, znaczeń i prawd. Nasza wiedza jest coraz bardziej naskórkowa, podobnie jak odczuwanie. Ten proces musi ulec zatrzymaniu, musimy zacząć nad nim panować. W przeciwnym razie, ujmując rzecz w sposób całkiem prostacki: zgłupiejemy do reszty. Tymczasem najlepsze lekarstwo znajduje się w zasięgu ręki i na imię mu: czytanie literatury, najlepiej długich powieści. Badania profesora neurofizjologii Marina Ingvara ze szwedzkiego Karolinska Institutet wykazują, że informacje pozyskiwane podczas czytania artykułów w Internecie oraz innych form tekstu zdigitalizowanego z trudem przedostają się do pamięci długotrwałej. Dopiero informacje uzyskane w procesie wolniejszego czytania, jak na przykład czytanie książek, mają szansę się do niej przedostać. Profesor Martin Ingvar twierdzi też, że czytanie jest najlepszym treningiem, jaki możemy podarować swojemu mózgowi. Pomiędzy mózgiem czytelnika a mózgiem osoby nieczytającej są wyraźne różnice, osoby nieczytające mają gorzej rozwiniętą lewą półkulę. Szwedzkie badania dowodzą też, że osoby czytające mają większą zdolność myślenia abstrakcyjnego. Potwierdzają to badania brytyjskie, według których czytanie książek przez dzieci zwiększa nawet ich zdolność do rozwiązywania problemów matematycznych. Poza tym wszystkim wielu naukowców podkreśla, że czytanie zwiększa empatię.

Wszystko wskazuje więc na to, że czytanie stanowi najlepszą odtrutkę na problemy, których dostarcza naszym mózgom coraz szybszy i coraz bardziej przeładowany informacją, stechnologizowany świat. Problemy, które z czasem będą jedynie narastały. Nie zdziwiłabym się, gdyby za parę lat czytanie było przepisywane na receptę, jako jedna z najlepszych metod terapeutycznych i lek na choroby cywilizacyjne. Jako społeczeństwo musimy do czytania wrócić i to na dużą skalę. Żeby to zrobić, potrzebna jest nam

REWOLUCJA. Potrzebna jest radykalna zmiana sposobu myślenia. Na pocieszenie dodam, że istnieje wiele rozwiązań, które można wcielić w życie już teraz i to bez wielkich nakładów finansowych. Na przykład polskie szkoły mogłyby nareszcie zakończyć ciągnącą się od lat grę w czytelniczą hipokryzję, polegającą na tworzeniu długich i ambitnych (choć średnio interesujących) list lektur obowiązkowych dla każdej klasy, których potem nikt nie czyta (wybierając zamiast książek dostępne w Internecie ściągę). Czy nie byłoby sensowniej, gdyby zarówno w szkole podstawowej, jak i w liceach wprowadzono godziny wspólnego czytania (jedna godzina dziennie wystarczy na przeczytanie w ciągu roku kilku powieści). Nie mówię tu o czytaniu na głos przez nauczyciela, ale o lekcji, podczas której każdy uczeń czyta w ławce, na miękkiej poduszce pod ścianą albo leżąc sobie wygodnie na podłodze. Czytanie i cisza. Tylko i aż tyle. Na zakończenie warto, by młodzież posłuchała przez chwilę Bacha, Mozarta czy Chopina.

Ponieważ czytanie to w nadchodzącej przyszłości już nie tylko część kultury, ale także element zdrowego stylu życia, sugerowałabym wprowadzenie przerw na czytanie w zakładach pracy oraz wymianę kilku drogich i bezsensownych szkoleń na spotkania z pisarzami i pisarkami. Mówiąc o łączeniu sfery biznesowej ze sferą kultury, nie sposób też nie wspomnieć o tym, że dopóki polskie księgarnie będą znajdowały się w tak opłakanym stanie, jak dziś, dopóty Polacy nie zaczną widzieć w czytelnictwie ważnego elementu ich przyszłości. Już czas, by nareszcie dostrzec, że księgarnia to nie jest zwykły sklep, tylko miejsce, które zajmuje się promocją kultury.

Kultura, która niuansuje i łączy

Wspomniane przeze mnie na początku tego tekstu słowa Kazuo Ishiguro o tym, że zwłaszcza w trudnych czasach kultura może humanizować język politycznej debaty, słyszeliśmy już wcześniej, ale nie zmienia to faktu, że mają w sobie wiele prawdy, a przede wszystkim dają nadzieję w czasach narastającej polaryzacji i podziałów.

„Ktoś zapytał, co najtrudniej znieść w kraju? Odpowiedziałem: nienawiść. Kłopoty materialne, niebezpieczne odruchy społeczeństwa wywoływane pytaniami, które stawia epoka – wszystko to można znieść. Ale atmosfery nienawiści, jaka otacza mnie w kraju, znieść niepodobna. Klasy, grupy wyznaniowe, rasy, wszyscy wszystkich nienawidzą... Nie da się żyć w takim klimacie”.

Czy to słowa mówiące o współczesnej Polsce? Nie, napisał je w 1947 roku przebywający w Rzymie węgierski pisarz Sándor Márai, a dotyczyły sytuacji w powojennych, komunistycznych Węgrzech. Tym bardziej przeraża myśl, jak bardzo są dziś aktualne.

Znaleźliśmy się w bardzo niebezpiecznym momencie, kiedy debata polityczna zaczyna być traktowana w kategoriach manichejskich. Biorą w niej udział liczni narcystyczni i przekonani o bezwzględności swoich racji „rycerze dobra”, posiadacze jedynie słusznej wizji świata oraz kraju. Niektórzy z nich są nawet pewni tego, że walczą w imię wyższej racji. Kto wie, być może przychodzi im do głowy, że sam Bóg znajduje się po ich stronie. Media społecznościowe ze swoimi bańkami informacyjnymi sprawiają, że coraz szczelniej zamykamy się w grupach, w których wszyscy się ze sobą zgadzają, nie lubiąc przy okazji reprezentantów innych poglądów. Naprawdę, nie da się dziś ukryć, że ewolucja przystosowała nasze mózgi do nadużywania porządkujących chaos uproszczeń... Warto w tym momencie pamiętać, że jedynym ludzkim tworem, który zamiast upraszczania komplikuje, który miast spłaszcać niuansuje rzeczywistość i ma moc wyrwania nas z ustalonych trajektorii przekonań i uprzedzeń jest KULTURA.

W przyszłości, tak jak i dziś, jedną z jej najważniejszych ról będzie nauka krytycznego myślenia, umiejętność podważania zastanych prawd, prowokowania do myślenia, wyrwania z letargu. Gdyby Słowacki napisał dziś swoje słynne wersy: „Choć Muzę moją w twojej krwi zaszargam, sięgnę do wnętrza twych trzewi — i zatargam”, miałby prawdopodobnie na myśli coś innego niż romantyczny imperatyw walki o ojczyznę. Domyślam się, że nawoływałby do wolności myślenia, do wolności artystycznego wyrazu, a także do

umiejętności prowadzenia dialogu z Innym. Tym Innym mógłby być uchodźca, człowiek innej religii, ale także sąsiad głoszący na inną partię. Kultura przyszłości musi być antyfundamentalistyczna. Tylko taka może nas uleczyć.

Pozwalając sobie na chwilę utopijnych marzeń o przyszłości, powiem nawet, że być może taka kultura mogłaby nas też kiedyś ze sobą na nowo połączyć, scalić to, co się rozpadło?

Post scriptum

Czytelnicy tego tekstu mogą mi zarzucić, że pisząc o kulturze, bezwstydnie priorytetyzuję temat literatury. Zdecydowałam się na to z dwóch powodów. Po pierwsze, jako pisarka i tłumaczka literatury znam się na tym najlepiej. Po drugie, jestem przekonana, że w coraz bardziej stechnologizowanym, przeładowanym informacją i pozbawionym cierpliwości świecie, literatura jest najbardziej zagrożona. Jednocześnie to właśnie literatury najbardziej dziś potrzebujemy. Użyłam też określenia „wyrób książkopodobny”. Warto dodać, że myśl ta nie ma nic wspólnego z tak częstą w Polsce pogardą dla literatury gatunkowej. Zdarza się, że dobry komiks zawiera w sobie więcej treści niż niejedna „powieść z ambicjami” (idealnym na to przykładem jest „Totalnie nie nostalgia” Wandy Hagedorn i Jacka Frąsia). Czytelnicy mają prawo do gatunkowego płodozmianu, do sięgania po rzeczy trudne i wymagające oraz po dobrze skonstruowaną rozrywkę. Problem zaczyna się, gdy książka pisana jest tak szybko, że aż na kolanie, a wydawnictwo z pośpiechu i oszczędności zapomina postawić na dobrego redaktora. Takich przypadków jest dziś całkiem sporo i to one, a nie dobre kryminały, obniżają jakość wydawanej w Polsce literatury.

Katarzyna Tubylewicz - pisarka, kulturoznawczyni i tłumaczka z języka szwedzkiego (przełożyła m.in. cztery powieści Majgull Axelsson i trylogię Jonasa Gardella o AIDS w Szwecji). Autorka powieści „Własne miejsca”, „Rówieśniczki” i „Ostatnia powieść Marcela”, współautorka głośnej antologii na temat czytelnictwa „Szwecja czyta. Polska czyta”. W 2017 roku ukazała się jej nowa książka „Moralisci. Jak Szwedzi uczą się na błędach i inne historie”, zbiór rozmów i reportaży o współczesnej Szwecji i wyzwaniach stojących przed społeczeństwem wielokulturowym. W latach 2006–2012 była dyrektorką Instytutu Polskiego w Sztokholmie. Była też dyrektorką programową pierwszej edycji festiwalu Odnalezione w Tłumaczeniu. Gdańskie Spotkania Tłumaczy Literatury i prowadziła zajęcia na temat kultury polskiej na Uniwersytecie Sztokholmskim. Jako publicystka współpracuje z „Krytyką Polityczną” i „Gazetą Wyborczą”. Mieszka w Sztokholmie i Warszawie. Od lat praktykuje jogę i jest jej nauczycielką.